

artystycznych walorów omawianych powieści. Czy ich obecność zmienia ocenę omawianych dzieł? Raczej nie, choć na pewno czyni dyskurs o socrealizmie ciekawszym i tom *Bohater powieści socrealistycznej* jest tego najlepszym przykładem.

Mariusz Zawodniak

Jeszcze o samokrytyce (i czymś ponadto)

Joanna P y s z n y, *Boje na łamach. Pisarze i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku. Szkice*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego: Wrocław 2002, ss. 129.

Po książkę Joanny Pyszny sięgnąłem zaciekawiony tytułem. Wszak wiele zapowiada. Szybko jednak uznałem, rzucając choćby okiem na spis treści, że jest on – ów tytuł – odwrotnie proporcjonalny do zawartości (i przy okazji też objętości) przeglądanej pozycji. *Boje na łamach* to książka niewielkich rozmiarów, mieszcząca zaledwie trzy szkice na odmienne tematy, swym podtytułem natomiast – *Pisarze i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku* – obiecuje znacznie więcej, obiecuje wszystko.

Poczytałem to za nadużycie.

*

Ale po lekturze książki, zawierającej zresztą teksty wcześniej publikowane⁶, nie czułem rozczarowania; więcej nawet: obcy był mi niedosyt. I bynajmniej nie dlatego, że odnalazłem tam spodziewane rzeczy; bądź też rzeczy dotąd nieznanne a warte poznania. Zadowolenie przyszło skądinąd. Książka Joanny Pyszny w sposób być może niezamierzony (a może całkowicie zamierzony) pokazuje nie tyle socrealizm, ile to, co z niego pozostało; i być może – jedynie pozostanie (w powszechnej świadomości). Autorka nie podejmuje kolejnych prób opisu zjawiska, nawet nie wiąże ze sobą zamieszczonych tekstów i ich problematyki,

⁶ Dwa spośród zamieszczonych szkiców (o „sprawie Miłosza” i prasowych reakcjach na samobójstwo Lechonia) autorka przedrukowuje bez zmian i zamieszcza w tekście stosowne odsyłacze do miejsca pierwodruku, ale nie wiedzieć dlaczego nie wspomina, iż pierwszy szkic – o samokrytykach z lat 50. – ogłosiła w skróconej i nieco przeredagowanej wersji w innej pracy zbiorowej (zob. J. P y s z n y, „Pragnę dziś wspomnieć o rzeczach, których się wstydzę...”. *Samokrytyczne wypowiedzi polskich pisarzy w prasie 1950 roku*, (w:) *Wszystek krąg ziemski. Antropologia. Historia. Literatura. Prace ofiarowane Profesorowi Czesławowi Hernasowi*, red. P. Kowalski, Wrocław 1998).

ale przypomina raz jeszcze tych pisarzy i ich zachowania (postawy), które w życiu literackim lat 50. nadawały bieg wypadkom; przypomina te procedury i mechanizmy, które dla organizacji i funkcjonowania tamtego państwa miały znaczenie podstawowe. Przy okazji więc Joanna Pyszny pokazuje, jak w każdym zjawisku i zdarzeniu z osobna socrealizm spełniał się – a więc tym samym: realizowany był – jako pewna całość: jako metoda twórcza, jako model komunikacji (czy szerzej: kultury), jako sposób na życie wreszcie (tzn. organizację życia).

Jak rozumiem, wybór zagadnień i kryjących się za nimi zdarzeń literackich (faktów literackich) nie był tu przypadkowy. Towarzyszy mu zresztą milczące założenie (które mogłoby być wypowiedziane w najwyraźniej brakującym słowie wstępnym!), że to, co dla literatury wspomnianego okresu ważne – okresu nazywanego potocznie latami pięćdziesiątymi – wydarzyło się właśnie w pierwszej połowie tych lat. Nie na przełomie dziesięcioleci, nie w roku 1948 czy 1949 (jak zwykło się sądzić), ale na początku roku następnego i w ciągu kilku kolejnych lat. I co więcej – rozwijam owo milczące założenie – że z punktu widzenia literatury (zwłaszcza zaś jej kondycji psychicznej) – nie tak ważne były przedsięwzięcia partyjnych zarządców: sierpniowe plenum, Kongres Zjednoczeniowy, szczeciński zjazd i zapowiedź socrealizmu, o wiele istotniejsze okazały się jednak praktyczne wystąpienia pisarzy; że zatem nie hasła czy programy, przedkładane w rozlicznych referatach, były istotą rzeczy, ale to, jak odpowiedzieli na nie sami literaci. Jaki dopisali ich ciąg dalszy.

Jak wiadomo, dopisali ciąg rzeczy przerażających i haniebnych. Przy czym nie chodzi tu o legiony adeptów nowej sztuki, ich masowy akces i łatwe do wykpienia ich wybory czy motywacje; nie chodzi też o niezliczone teksty, które wysypały się jak z rogu obfitości, ani nawet o ich bylejakość, która była czymś oczywistym i dla samych rządzących. Chodzi natomiast o tych kilka (zaledwie) nazwisk, znaczących nazwisk, które posłużyły za przykład i drogę do legitymizacji; chodzi o parę wymownych gestów, publicznie złożonych ofiar, które innych popychały do zbiorowych czynów – i tym samym pozwalały nakierowywać całe to przedsięwzięcie na właściwe tory.

W tym sensie socrealizm zaczął zbierać swe prawdziwe żniwo właśnie na początku roku 1950, a jego głównym plonem były od dawna oczekiwane samo-krytyki pisarzy – i temu zagadnieniu Pyszny poświęca swój pierwszy szkic. Autorka trafnie wskazała – jako na ilustrację zjawiska – trzy głośne wystąpienia Andrzejewskiego, Borowskiego i Gałczyńskiego, pomieszczone w początkowych numerach „Odrodzenia”. I słusznie osadziła je w kontekście innych zdarzeń, innych głosów, komentarzy, recenzji, widząc w tym ciąg zależności, a więc także – swoisty model komunikacji.

Zasadniczo Joanna Pyszny postrzega i opisuje samokrytykę jako podstawowy gatunek wypowiedzi tamtego okresu; i jako ważny element „obowiązującego modelu właściwego zachowania”, a zatem element codziennej obyczajowości. Próbuje także wskazać na genezę samego zjawiska, wywodząc je z pism ojców marksizmu, ale w poszukiwaniu tych źródeł i pierwszych samokrytycznych praktyk nie

jest zbyt dociekliwa. Ogranicza się do definicji zaczerpniętej z popularnego *Krótkiego słownika filozoficznego*, a następnie do kilku wykładni klasycznych tez, jakie można było odnaleźć na łamach naszej prasy – także w początkach roku 1950. Wzorem socrealistycznej krytyki chciałbym przeto wytknąć „niedociągnięcia” czy „uchybień” w opisie tego wątku, ale bynajmniej nie dlatego, że kryje on w sobie istotę rzeczy i jego pominięcie przekreśla możliwości trafnej interpretacji całego zjawiska. Chodzi mi jedynie o to, iż niezwykle cenne uwagi na zajmujący nas temat poczynił wcześniej Grzegorz Wołowiec, w szkicu zatytułowanym *Dwuznaczny urok samokrytyki*, i że do jego ustaleń winna się autorka bezwzględnie odwołać. Wołowiec słusznie wiąże samokrytykę z historią partii bolszewickiej, a jej praktyczne zastosowania – z wydarzeniami końca lat 20., kiedy to Stalin przy różnych okazjach objaśniał istotę nowej metody „wychowania kadr partyjnych”, nowego narzędzia ujawniającego „bolączki” i likwidującego „braki” tejsze kadry. Ale poza tym Wołowiec wskazuje na kilka istotnych cech samego zjawiska, zwłaszcza zaś – na jego znakowe nacechowania. Odchodząc od prób definiowania samokrytyki i objaśniania jej ujęć (bo to zajęcie dość jałowe), przesuwając akcent z pytania: *czym ona była* (lub: *czym miała być*) na nieco inne: *co oznaczało jej wygłoszenie*, a zwłaszcza – *jej prasowa publikacja*.

Otóż samokrytyka była nie tylko wystąpieniem samooskarżającym, publicznym wyznaniem błędów i gestem zerwania z niechlubną przeszłością – w tym wymiarze pozostawała bowiem czystym rytuałem („marksistowską spowiedzią”), ale przede wszystkim była wyrazem pojednania z partią, „formą publicznego spektakularnego akcesu do grona współtwórców nowego ustroju”, oznaczała zatem pomyślnie przeprowadzoną rehabilitację zbłąkanego towarzysza (bądź reedukację wroga klasowego); i oznaczała – co wydaje się najistotniejsze – przyznanie swoistego „certyfikatu ideologicznej prawomyślności”⁷. Co więc ciekawe: prawo wygłoszenia samokrytyki, a zwłaszcza opublikowania jej na łamach liczącego się pisma, nie przysługiwało wszystkim. Nie przysługiwało tym, którzy pozostawali w konflikcie z partią i uchodzili za ideologicznych przeciwników; mogli zaś z niego skorzystać jedynie ci, którzy już zasłużyli na jej – partii – przebaczenie, odzyskali zaufanie (bądź takowym zaufaniem zostali obdarzeni); i tym samym mogą przystąpić do grona budowniczych socjalizmu.

Jakkolwiek więc samokrytyka była zabiegiem dyscyplinującym, „wychowawczym”, no i do jakiegoś stopnia upokarzającym (przynajmniej w rozumieniu części literackiej publiczności, ale i zapewne samooskarżających się), to jednak z punktu widzenia ideologii, jej oficjalnej wykładni, była czynem uszlachetniającym. Nie służyła – jak mogłoby się wydawać – likwidowaniu, usuwaniu w cień czy pomniejszaniu roli, przeciwnie: budowała pozycję, wzmacniała autorytet⁸. Dzięki niej przechodzono nie tylko „na wyższy szczebel świadomości”, ale pięto się także na wyższe szczeble władzy.

⁷ G. Wołowiec, *Dwuznaczny urok samokrytyki*, „Teksty Drugie” 2000 z. 1-2, s. 47, 58.

⁸ Zob. ibidem.

Zbierzmy wnioski, jakie wypływają z powyższych uwag. Samokrytyka była pożądanym, a przez to i częstym – najczęstszym – sposobem wystawiania. Tym samym stała się w latach 50. nie tylko najpopularniejszym gatunkiem wypowiedzi, ale gatunkiem – najważniejszym, przesłaniającym wszelkie inne, także te literackie. O jej znaczeniu przesądziły cele, do jakich można było ją wykorzystać; i „wychowawcze” efekty, na które nie trzeba było zbyt długo czekać. Przyjąć więc trzeba, iż samokrytyka pisarza – preferowana jednak w formie publicystycznej – była w każdym przypadku wystąpieniem ważniejszym (ale i cenniejszym) od innych jego dzieł, wszak z założenia, z definicji, winna zawierać krytykę tych ostatnich, winna być zatem dowodem wyższego stanu świadomości. A w innych z kolei sytuacjach, np. twórczego przestoju albo zbyt słabej aktywności, była samokrytyka jedyną formą zastępczą, jedynym sposobem wystąpienia; i tym samym – istnienia. Była sposobem na dalsze funkcjonowanie.

Nie przypadkiem więc w rejestrze pierwszych prawdziwych zdobyczy realizmu socjalistycznego, zdobyczy w dużym stopniu zadowolających władzę, znalazły się opisywane w książce Joanny Pyszny prasowe wystąpienia Andrzejewskiego, Borowskiego i Gałczyńskiego. Głośne samokrytyki z początku 1950 roku – nie zaś ich dotychczasowe dzieła; ani żadne inne. Nie przypadkiem też wydarzenia te – a wiązały się one dodatkowo z krótką dyskusją o stanie literatury, zwłaszcza poezji – potraktowano jako początek prawdziwej socrealistycznej ofensywy i zapowiedź nieodwracalnego już kursu.

Podkreślmy to jednak raz jeszcze: w całym tym przedsięwzięciu ważne były owe konkretne nazwiska (nieprzypadkowe, a znaczące); i ważne były czyny tych ludzi, prezentowane na najbardziej otwartej scenie.

Jerzy Andrzejewski – złożył na ołtarzu rewolucji dzieło (dzieło życia), które – paradoksalnie – oddało dotąd reżimowi największe przysługi; i jeszcze długo miało je świadczyć. *Popiół i diament* był odpowiedzią na zapotrzebowania partii, był nagradzany, oceniany jako jedno z najlepszych powojennych osiągnięć, pod dyktando też poprawiany – ale w ostatecznej ocenie, a dalej w wystąpieniu autora uchodził jedynie za „błędny obraz ówczesnej rzeczywistości”.

Tadeusz Borowski – odciął się od swoich oświęcimskich opowiadań, choć przed sierpniem 1948 roku uznane były – i słusznie – za rewelację w powojennej prozie. Świetnie zapowiadający się „polski Hemingway” uznał swój „obozowy kompleks”, *Pożegnanie z Marią* nazwał „klasowym utworem mieszczaństwa”, a na koniec nie cofnął się przed zakwalifikowaniem siebie do grona faszystów.

Konstanty Ildefons Gałczyński – obiekt najbardziej spektakularnej nagonki i publicznego „procesu”; i chyba autor najdotkliwiej przeżywanego „spowiedzi”. Bezsprzecznie najpopularniejszy (najczęściej czytany) powojenny poeta. Poeta – mimo wszystko – niepokorny. Dlatego złożył największe ofiary: w 1950 roku – po licznych atakach krytyki – zaprzestał pisanie m.in. *Listów z fiołkiem* i *Zielonych Gęsi* (tych cykli satyrycznych, które zapewniały mu największą poczytność).

Cała ta trójca – powtórzę – nieprzypadkowa, wybrana i dopuszczona do publicznej samokrytyki przez partyjnych zarządców, miała być czymś w rodzaju literackiej szpicy, mini oddziału prowadzącego pozostałe kolumny, przecierającego szlaki. Mieli to być także liderzy (na danym odcinku pracy), przodownicy, autorzy „dzieł na miarę czasu”. Trzeba to przyznać: wybór był trafny, sięgnięto niewątpliwie po utalentowanych pisarzy, żarliwych w swojej robocie, na domiar oddanych partii (lub chociaż z nią pogodzonych), słusznie więc zakładano – liczone na to – że właśnie oni mogą się stać twórcami spektakularnych sukcesów.

Andrzejewski porzucił wprawdzie na pewien czas literaturę dla form pogranicznych, ale właśnie na tym polu oddał największe przysługi: poza prasowymi felietonami, przykładowo skrojoną książką wspomnieniową *O człowieku radzieckim*, wysmażył też coś w rodzaju elementarza – *Partię i twórczość pisarza* słusznie nazywa się „literacką parafrazą samego programu”⁹.

Z Borowskim podobnie, mimo iż zapowiadał się jako świetny prozaik, wyznaczono mu rolę pierwszego agitatora i propagandzisty, kogoś, kto miał na łamach prasy nieustannie kąsać „amerykańskiego imperialistę”; i o wszystkim co wrogie pisać w sposób arogancki, napastliwy, w sposób bliski prokuratorskim mowom. Zadanie to, jak wiadomo, realizował wzorowo, ogłaszając m.in. w „Nowej Kulturze” felietony pod wspólnym tytułem *Mała kronika*.

Nieco gorzej z Gałczyńskim. Widziano go w roli „polskiego Majakowskiego”, autora zaangażowanej, politycznej poezji. Wprawdzie i on zasłużył się sporą garścią wymownych tekstów (żeby wymienić dla przykładu: *Przed Mauzoleum Lenina*, *Poemat dla zdrajcy*, *Lekcja bolszewicka* czy *Umarł Stalin*), ale oczekiwania były znacznie większe.

Tak czy inaczej wybór tych autorów okazał się znamienity. To, co przy ich udziale osiągnięto, nie tylko na obszarze literatury czy publicystyki, ale i organizacji życia literackiego (zwłaszcza w sferze obyczajowości, kształtowania postaw, zachowań, odpowiednich reakcji), otóż to wszystko było z pewnością dużym sukcesem władzy, ale było też czymś ważnym dla losów samego realizmu socjalistycznego w Polsce. Losy tych pisarzy, ich biografie i portrety, liczne przemiany, przełomy, deklaracje, to było to, o co chodziło doktrynerom; to, co było istotą socrealizmu (nie przypadkiem ci właśnie autorzy stali się niebawem głównymi bohaterami *Zniewolonego umysłu* Czesława Miłosza; jest tam wprawdzie dodatkowy portret Putramenta, ale ten zasłużył się przede wszystkim za biurkiem, jako administrator – ale to na marginesie).

Poświęcam samokrytyce stosunkowo dużo miejsca nie tylko dlatego, że była w socrealizmie czymś ważnym, lecz i z tej racji, że w książce Joanny Pyszny stanowi główny przedmiot opisu. Ponieważ jednak Autorka przybliżając owe wydarzenia z początku 1950 roku analizuje głównie ich wymiar socjotechniczny (pokazuje więc rozmaite związki między tekstami i programowany w ten sposób model ko-

⁹ Z. Ł a p i ń s k i, *Jak współżyć z socrealizmem. Szkice nie na temat*, Londyn 1988, s. 92.

munikacji), chciałbym przeto – niech mi będzie wolno – potraktować powyższe uwagi jako próby dopowiedzenia. Dopowiedzenia także do tego, co sam kiedyś ośmieliłem się napisać na temat samokrytyki¹⁰.

**

Ale o samokrytyce można pisać jeszcze z innego powodu. Ponieważ była obecna niemal w każdej biografii (biografii zaangażowanego w socrealizm), była więc także składnikiem tych wydarzeń, które w życiu publicznym określano mianem *s p r a w y*. A wiele wydarzeń na to miano zasługiwało. Przy czym – dla jasności – sprawa nie oznaczała jedynie zbioru zwykłych okoliczności i wypadków dotyczących się kogoś lub czegoś (i tym samym dyskusji na ten temat); oznaczała rodzaj postępowania, jakie się toczy na publicznej scenie, była zatem sądowym procesem – i to takim, który przebiegał zgodnie z zaplanowanym scenariuszem.

Joanna Pyszny pisze w swojej książce co najmniej o trzech takich sprawach. Jedną, najgłośniejszą – sprawę Gałczyńskiego – wspomina przy okazji jego samokrytyki, a dwóm kolejnym (sprawie Miłosza i Lechonia) poświęca osobne szkice.

Jednakowoż były to różne sprawy. Sprawy rozgrywane w różnym czasie, różnym miejscu, a nawet – w różnych epokach. Wiązanie ich ze sobą (choćby w granicach jednej książki) nie jest oczywiście zabiegiem błędnym, ale – raz jeszcze o to się upomnę – wymaga jakichś objaśnień, słów, które tłumaczyłyby zamiary Autorki. Bo ostatecznie sprawa Gałczyńskiego to jedno z najważniejszych wydarzeń realizmu socjalistycznego w Polsce, sprawa Miłosza to kluczowe wydarzenie dla emigracji, a sprawa Lechonia (możliwość pisania o niej) to z kolei sprawa innej już Polski (roku 1956). W tym sensie każda ze spraw toczyła się w innym trybie, odpowiadała innym modelom komunikacji, sposobom porozumiewania się (przynajmniej z naszego punktu widzenia, chociaż nie tylko); i w różnym czasie przynosiła rozmaite efekty.

W sprawie Gałczyńskiego mogli się wypowiadać absolutnie wszyscy; nawet robotnik z fabryki mógł nawtykać poecie – i o to bynajmniej chodziło. Inaczej w sprawie Miłosza: w roku 1951 można było o nim wspominać jedynie mimochodem; i to najlepiej przy pomocy aluzji (niekoniecznie już wyszukanych). „Zdradził”, więc jak „topielec” niech teraz „spływa w nocy” – pisał Gałczyński w słynnym poemacie. I dopiero pod koniec 1955 roku powróci Miłosz na łamy krajowych gazet. A Lechoń? O nim – do momentu samobójczej śmierci – w ogóle nie było mowy. Dla krajowej literackiej publiczności po prostu nie istniał. Lechoń to sprawa nowej „epoki”.

A Miłosz był obecny inaczej. I szkoda, że ta kwestia nie pojawiła się w rozważaniach Joanny Pyszny. Bo choć zajmuje ją sam motyw ucieczki z kraju i to, jak zareagowano na nią w naszych oficjalnych kręgach i kręgach emigracyjnych, to jednakowoż w obu przypadkach śmiało można mówić o czymś, co wspólne: o poezji,

¹⁰ Zob. M. Z a w o d n i a k, *Literatura w stanie oskarżenia. Rola krytyki w życiu literackim socrealizmu*, Warszawa 1998.

która inaczej przepływając drażyła świadomość i jednych, i drugich Polaków. Pisząc o powojennym Miłoszu jednak dalece upraszczamy jego „sprawę”. Ostatnio zwrócił na to uwagę Zdzisław Łapiński¹¹. Jakbyśmy zapominali, że przed opuszczeniem kraju Miłosz ogłosił jeszcze w Polsce choćby *Traktat moralny* czy *Toast*, że na ten pierwszy odpowiedział mu publicznie Witold Wirpsza *Traktatem polemicznym*, że zatem był, był czytany, pamiętany; i że w wielu przypadkach – już wówczas – wpływał na losy odbierającej go publiczności. To oczywiste.

Pisząc o sprawie Miłosza nie można tych wątków zagubić; i nie można utrzymywać, że poeta był wówczas nieobecny.

Zdzisław Łapiński upomniał się o szersze widzenie sprawy (i słusznie!), ale to, jakie zaprezentowała Joanna Pyszny w swej książce pokazuje jeszcze rzecz inną. To mianowicie – i tu wracam do początkowej tezy – co po socrealizmie pozostało. Bądź też – ostatecznie pozostanie. A pozostaną – zdaje się mówić Joanna Pyszny – jedynie pojedyncze zdarzenia, pojedynczy autorzy i ich spektakularne wyczyny; po socrealizmie pozostaną samokrytyki, sprawy i zamykające rzecz całą – samobójstwa.

¹¹ Zob. Z. Ł a p i ń s k i, *Miłosz „zaraz po wojnie”*, „Teksty Drugie” 2001 z. 3-4.